Rok 1898. Lwów, dnia 1. sierpnia. Nr. 30.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Rozdział I.

Od czasu gdy Giorgio La Ferlita poświęcił się karjerze dyplomatycznej, stosunki nasze wzajemne rozluźniły się. Widywaliśmy się bardzo rzadko, a nieraz przez kilka miesięcy z rzędu nie wiedzieliśmy nic o sobie.

Niespodzianie, zastałem pewnego wieczora na mojem biurku zaproszenie na jego ślub.

Na pół roku przedtem widziałem go we Florencji w Albergo della Pace, po jego powrocie z Japonji. Spotkaliśmy się przypadkowo, przy okrągłym stoliku restauracyjnym. Mój przyjaciel był to żywy, dowcipny, nieco sarkastyczny młodzieniec, o układnych manierach, światowca, które sobie w Paryżu, Wiedniu i Londynie przyswoił. Był on czemś w rodzaju eleganckiego komiwojażera w uniformie sekretarza ambasady. Poznał mnie natychmiast i poczęliśmy rozmowę, szczęściem, o swych podróżach wcale mi nie opowiadał. Z wdzięczności za to, ofiarowałem mu cygaro, poczem on potraktował mnie swojemi, nie bez tego, aby nie napomknąć o ich dalekiem pochodzeniu. Pogawędka się nam wówczas jakoś nie kleiła i w końcu urwała się zupełnie, co jednak nie przeszkodziło nam przyrzec sobie wzajemnie, że się jaknajczęściej widywać będziemy. Spotkaliśmy się też dwa lub trzy razy w korytarzu hotelowym, gdy on wychodził a ja wracałem lub też naodwrót.

Pewnego pięknego poranku wpadł jak bomba do mego pokoju, plótł Bóg wie co o jakimś pojedynku i prosił mnie tak natarczywie o pośrednictwo, że musiałem mu dwa razy „nie“ powtórzyć. To było też powodem, że rozstaliśmy się trochę zimniej niż zwykle.

W dwa dni później dowiedziałem się, że otrzymawszy pchnięcie szpadą leży chory u siebie; spowodowało mię to do odwidzenia go. Miał silną gorączkę i opowiadał mi historje, które również przedstawiały mi się wówczas jako produkt chorej fantazji. Gdy począł zwolna odzyskiwać zdrowie, zachodziłem do niego niemal codziennie, on jednak, miał ciągle jakby lekką urazę do mnie. Co prawda, ja sam żałowałem do pewnego stopnia mej nieuczynności.

Jednego dnia, zastałem go pakującego kufry z wielkim pośpiechem. Dokąd i dlaczego odjeżdżał, nie powiedział mi wcale; w ogóle, na pytania moje dawał odpowiedzi niejasne i lakoniczne, zdradzając przytem znaczne podrażnienie nerwowe.

Odprowadziłem go na dworzec. W tłoku i gwarze jaki tam panował, wydawał mi się jeszcze bardziej roztargniony. A gdy miał już kupić bilet, zapytał mię, czy pociąg którym odjeżdża, ma w Neapolu połączenie ze statkiem odchodzącym do Konstantynopola.

— Ale dokądże chcesz jechać właściwie? — zawołałem wtedy zirytowany.

— Czy ja wiem! Na razie, do Neapolu... Prawda, patrz!...

Przy tych słowach, z miną człowieka co zdecydował się nagle na krok jakiś ważny, pokazał mi bilet wizytowy, na którym czerniły się następujące słowa: „Kocham Pana — i odjeżdżam Żegnam“...

Tyle było wszystkiego. Podpis wyskrobano starannie scyzorykiem, tylko w rogu, korona hrabiowska nietknięta została. Pod nią, widniały dwa krótkie szeregi zgrabnych, arystokratycznych liter, które zdawały się ramiona ku owej koronie wyciągać i czynić demoniczne wysiłki, aby Giorgiowi odebrać tę skromną resztkę rozsądku, jaką jeszcze posiadał...

*

Po dwóch miesiącach, zobaczyłem go w kawiarni Doney. Twarz miał rozpromienioną i nos zadzierał do góry, jakby pragnął wciągnąć w nozdrza wszystkie balsamiczne wonie młodości. Opowiedział mi długą bajkę o pieniądzach, na których nadesłanie bezskutecznie w Neapolu oczekuje i o niejakiej Palmirze, którą wyrwał z pośród tryumfów święconych przez nią w teatrze San Carlo.

— Czy to ta, której bilet mi pokazywałeś? — zapytałem.

— Co za bilet? — odpowiedział, jakby nie rozumiał o czem mówię... — Ah, nie! zupełnie kto inny... Tamta była zręczniejsza odemnie i u niej — gdybym nawet dwa

razy tak długo czekał na pieniądze, niby nie pomogło... Nie, to nie tamta! — dodał, puszczając duży kłąb dymu z cygara i obojętnie wzruszając ramionami.

— Do widzenia! — rzekł na zakończenie, lecz — nie widzieliśmy się potem długo.

*

Giorgio był jednym z tych szczęśliwców, którzy całe swoje życie jeżdżą powozem. Małym chłopcem będąc, jeździł powozem do szkoły i ze szkoły, skoro tylko było za zimno lub za gorąco, co jednak, zdarzało się regularnie codnia. Mając lat dwadzieścia, wydał tomik poezyj, które pewnym odblaskiem aureli ozłociły jego blond włosy, a w trzydziestym roku życia — rozbijał się już na koszt państwa po stolicach, po głównych i po tylnych schodach pałaców. Na punkcie kosztów popierał wprawdzie państwo zacny papa La Ferlita, czynił to wszakże, mrucząc po cichu.

Swoją drogą, ten papa (człowiek, który się uczciwą i pilną pracą z niczego dorobił majątku), otaczał swego delikatnego i rozpieszczonego synalka macierzyńską niemal troskliwością. Byłby poświęcił chętnie siebie samego, byle tylko jemu zapewnić posiadanie wszystkiego, co mu przyjemność sprawiać mogło, byle on, zawsze kroczyć mógł przez życie drogą miękką — watą usłaną. Nie ulega kwestji, że byłby nawet chętnie, na rękach własnych nosił syna, byle ten się nie męczył i delikatnego zdrowia niepotrzebnie nie nadwerężał.

W ten sposób doszedł Giorgio do lat dojrzałych, nie wiedząc zupełnie co znaczą poważne jakieś przeszkody na szlaku pragnień, lub groźne chmury na życiowym horyzoncie. Nie miał także ani razu sposobności, aby swoje siły męskie w walce zahartować. Poczciwy papa śmiał się dobrodusznie, odkrywszy w młodzieńcu wiele nerwowości i jakiegoś kobiecego wdzięku bo przypominało mu to jego nieboszczkę żonę.

Przez długi czas zajmował się Giorgio tylko dwoma rzeczami: zleceniami Jego Ekscelencji i dyskretnymi półuśmiechami pięknych kobiet... Stał się przytem odrobinę poważniejszym, a także — nieco materjalistą, jak wypada dla młodego dyplomaty; wierszy już nie pisał, wstydził się nawet, że czynił to kiedykolwiek. Pomimo tego, nie zbył się dawnej swej natury. Patrzył w dal przez szkła różowe, a każde niebo było dlań błękitne. Jego umysł poety, kazał mu miękkie obicia zaprzężonego w czwórkę powozu — co go wiózł przez życie — czynić jeszcze miększemi.. Jeśli kiedy koła przypadkowo uderzyły o kamień, uczuwał przez dziesięć minut pewne niezadowolenie, coś, niby niemiły skurcz serca, jakiś żal głupi, wnet jednak odwracał się ziewając w inną stronę i — podłożywszy ramiona pod głowę, przymknąwszy oczy aby nic nie widzieć, zasypiał spokojnie, mruknąwszy poprzednio półgłosem: „Tak, to są skutki namiętności!“

Ten motyl usiadł wreszcie — na dwudziestu tysiącach morgów przepysznych winnic, które mu panna Ruscaglia wniosła w posagu. Uznał w końcu szlachetną instytucję małżeństwa, które mu dało sześć kroć sto tysięcy lirów i przepyszną brunetkę. Giorgio, mając do wyboru, dawał zawsze pierwszeństwo brunetkom, a ona, była istotnie ładną brunetką, która głęboko wyciętym sukniom, sprowadzonym jej przez narzeczonego — wbrew życzeniu teściowej — z Florencji, tylko zaszczyt przynieść mogła.

Pewnego dnia zatem, u furty małego kościółka w Tremestieri powitał nas przyjaciel Giorgio z tryumfalnym uśmiechem na ustach i wyzywającym błyskiem w oczach, takim samym, jaki widziałem u niego wówczas, gdy żona angielskiego posła zezwoliła, by zrabował najmniejszą, najzgrabniej skrojoną rękawiczkę na świecie.

Papa La Ferlita umarł w międzyczasie, a choć dał swemu synowi wyjątkowe wykształcenie, i zapewnił mu świetną karjerę, niemniej przeto zostawił mu — prawie pustą już kasę. Szczęście. że Giorgio nie potrzebował nic więcej, jak tylko - ziemi nie tykając — przesiąść się ze swego powozu, do powozu żony...

Uroczystość była krótka, pełna blasków słonecznych, woni kwiatów i wesela. Nasze czarne fraki i mokra od łez chusteczka do nosa teściowej, były tylko same — tak mi się zdaje — czemś poważnem, co całą znikomość ziemską przypominać mogło.

Pośród życzeń i uścisków, wyruszyła młoda para w podróż poślubną. Panna młoda poruszała się nieco sztywnie w swym popielatym, licznemi ozdobami przystrojonym kostjumie; dystyngowana mina pana młodego i plączący się około parasolki koniec długiego welonu, odbierały jej widocznie swobodę.

Powóz, oraz służba w bogatej, nowej liberji, czekali na nich na skraju dużego trawnika, po którym tłoczyła się ciżba ciekawych wieśniaków i zgraja rozswywolonych uliczników. Ci ostatni rozpierzchli się jednak, gdy stangret trzasnął z bicza, a uciekając wołali ze śmiechem:

— Szczęśliwej podróży!.. Szczęśliwej podróży!

Tak, szczęśliwej podróży!.. Młoda mężatko, nie zwracaj się już więcej pamięcią ku temu, co zostało za tobą! Niech zostaną w twym niebieskim pokoiku panieńskim wszystkie mgliste marzenia niedoświadczonego serduszka, i tomik poezyj Pratiego, który tyle razy wertowałaś od deski do deski, i mały misterny zegareczek, podarek babki, na który spoglądałaś nieraz tak niecierpliwie, gdy spodziewałaś się, że nadejdzie z wizytą on, tamten drugi... I niech zostanie tam także wspomnienie owego ostatniego uścisku dłoni, który z nim zamieniłaś, gdy mając wstąpić do akademji marynarskiej odjeżdżał na długo...

A ty Giorgio, zapomnij również o wszystkich uśmiechniętych twarzyczkach które przechowałeś w twym kawalerskim albumie, zapomnij o wszystkich liścikach które szuflady twego biurka zapachem różnorodnych perfum przepełniały, i także o tym jednym bileciku bez daty i imienia, a z koroną hrabiowską, o tym jednym dniu gorączki i szału! Pamiętasz?..

*

Przypomiuam sobie to dziś jeszcze dokładnie, choć czasu tyle minęło, i widziałem ją tylko raz jeden. Widzę ją ciągle, w tym dużym, ponurym salonie hotelowym, jak grzejąc blade, brylantami usiane rączki u kominka, spoglądała na mnie dużemi, gorączką błyszczącemi oczyma...

Rozdział II.

Gdzie i kiedy się spotkali, nie wiem. To jednak jest pewne, że od dłuższego czasu znali się i szukali wzrokiem pośród tłumów na promenadach i w ogrodach publicznych.

— Nie mogę powiedzieć, czy jest piękna — zwierzył się raz Giorgio przedemną — to jednak wiem, że kobietę tę, której nazwiska nawet nie znam dotychczas, kocham do szaleństwa. Ona dała mi również do poznania, że obojętny jej nie jestem...

Próżność, ciekawość, czy też pociąg fizyczny, mniejsza o to, — w każdym razie jakaś siła ukryta, a potężna, była w tę grę wmięszana.

O nazwisku damy dowiedziałem się potem, na balu w pałacu Pittich. Opowiedziano mi też wtedy wiele ciekawych rzeczy o niej. Twierdzono, że o ile ciało jej rywalizować

mogło z kararyjskim marmurem, o tyle jej wnętrze duchowe posiadać miało niejedną skazę. Miała być kokietką, zarozumiałą i egoistką bez serca... Patrząc na jej lodowaty uśmiech, można było snadnie uwierzyć, że jedyny mężczyzna którego w życiu kochała (a kochała do szaleństwa, z dziką namiętnością tygrysicy), nie mógł skończyć inaczej — jak samobójstwem...

Na imię jej było: Nata. Imię słodkie i miękkie, jak akord molowy.

*

— Czy zechce mię pani przedstawić? — zapytał Giorgio, zwracając się do wice-hrabiny de Rancy.

— To niepotrzebne; ona zna już pana.

— Zna mnie?

— Wczoraj, gdy spotkałyśmy pana jadącego konno, pytała się o pana...

— I... życzy sobie mnie poznać?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie chce.

— O!

— Pan się w niej kochasz.

— Nie wiem o tem.

— A podoba się panu?

— Bardzo.

— Czy i po tem, co panu o niej opowiedziałam?

— Może właśnie teraz dopiero.

— Czy chcesz pan usłuchać dobrej rady?

— Chętnie, jeżeli nie będę obowiązany zastosować się do niej...

— Naturalnie... Nie byłaby to żadna rada, do którejby się bezwarunkowo stosować musiało; to byłby rozkaz... Oto, co powiem: Jeżeli pan masz ochotę dać sobie głowę zawrócić hrabinie, to proś pan lepiej zaraz gdzie należy, aby pana przeniesiono do Konstantynopola lub Waszyngtonu. Najlepiej do Waszyngtonu, lub jeszcze dalej...

— Dlaczego chce mnie pani wysłać tak daleko, kiedy mnie tu tak dobrze? Hrabina nie życzy sobie mnie poznać, a pani wzbraniasz się mnie przedstawić... Gdzie i w czem leży tu jakie niebezpieczeństwo?

— Dam panu jeszcze jedną radę, tym razem taką, do której się pan zastosować musisz. Hrabina tłómaczyła się przedemną tem, że już wkrótce stąd odjeżdża i wskutek tego nowych znajomości zawierać nie chce, ja zatem przedstawić jej pana nie mogę. Mój małżonek wszakże, nie wie i wiedzieć nie potrzebuje o tem co Nata mnie tylko mówiła — poproś więc pan jego o prezentację...

— Dziękuję... — rzekł La Ferlita swoim zwykłym, nieco ironicznym tonem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWA SZTUKA.

I.

Dziwna rzecz, jak u nas ludzie lękają się każdej nowości! Dostatecznem jest choć trochę przekroczyć ramki, zakreślone przez tradycję artystyczną dla „porządnego i szanującego się autora“, aby być osądzonym odrazu, okrzyczanym za nowatora, warchoła, burzącego cały dotychczasowy porządek, szerzącego demoralizację itd. itd.; wystarcza być innym, niż drudzy, aby zyskać miano — dekadenta, gdyż nazwa powyższa oznacza u nas wszystko, co tylko wybiega poza sferę utartych powszechnie pojęć o sztuce. Czy podobny stan rzeczy jest wynikiem zupełnego prawie braku krytyki literackiej, czy też skutkiem innych głębszych jeszcze przyczyn, na razie trudno osądzić kategorycznie. Zdaje się, że i jedno i drugie wspólnie działa. Bądź co bądź nasza produkcja literacka jest bardziej ścieśnioną, staje się jednostronną, częstokroć wprost małoduszną i nudną. Dla każdego młodego autora mamy utartą drogę z punktami wytycznymi, oznaczonymi naprzód: pisać trzeba tak i tak, to a to, żeby się podobać, zyskać uznanie pseudo-krytyki, jednem słowem — zrobić karierę. Podobać się przeciętnemu czytelnikowi — oto nasza miara estetyczna! Wielu też porzuca swoje ideały poprostu dlatego, żeby nie zmarnieć w nędzy, i wstępuje na filisterską *via pietatis*, prowadzącą ich do urzędu „mistrza“ w świstkach brukowych, do spokojnej drzemki po dobrym obiedzie. Że takie naginanie najrozmaitszych temperamentów artystycznych, najróżnorodniejszych indywidualizmów do jednej wspólnej modły, nie może wyjść na dobre ani społeczeństwu, ani sztuce — tego dowodzić szeroko nie ma chyba potrzeby.

Ludzie piszą u nas, i piszą coraz więcej, ale wszystko to, co się pisze i jak się pisze, jest wogóle zanadto jednakowe, zbyt utarte, nagięte do jednej i tej samej formy wymagań estetycznych i wskutek tego staje się banalnem. Gotowi jesteśmy zacierać starannie zjawiający się tu i ówdzie odblysk szczerego indywidualizmu, tłumić iskry niejednego talentu, jakby w obawie, aby nie zabłysł zbyt jaskrawem światłem i nie oślepił uznanych powag naszych.

Nie znaczy to bynajmniej, żebym przemawiał w imieniu zapoznanych pseudo-genjuszów lub gwałtownie domagał się przenoszenia obcych prądów na nasz grunt, bez względu, czy odpowiadają one naszemu charakterowi czy nie. Bynajmniej. Chodzi mi tylko o zaznaczenie dziwnej odporności, z jaką się u nas spotyka każda silniejsza i wybitniejsza indywidualność twórcza. Dąbrowskiemu np. po ukazaniu się „Śmierci“ jedno z pism zadało pytanie, po co ją napisał; utwory Andrzeja Niemojowskiego, pełne ognia i szczerego natchnienia, były nieraz traktowane z iście dziennikarską bezczelnością. W tej sprawie wielka część winy leży po stronie prasy, która ujęła w swe ręce literaturę i berło krytyki i — zwyrodniła jedną i drugą. Prasa nasza bowiem w olbrzymiej części ujęta jest w stały szablon; szablonem banalnym, płytkim, mierzy wszystkie objawy twórczości i stara się niemal gwałtem narzucić go czytającemu ogółowi. Zresztą może się mylę. Ale dla zego

w takim razie twórczość nasza aż nazbyt widocznie jałowieje? Czemu prócz dwóch, trzech starszych autorów, posiadających odrębne fizjognomje artystyczne, nie mamy wśród młodszych prawie wcale indywidualizmów wybitnych? Czemu produkcja literacka u nas jest, jak rzeka, płynąca równo, spokojnie, lecz niesłychanie monotonna w charakterze, — rzeka, pozbawiona malowniczości, nie wyrzucająca ze swych nurtów nic, prócz jednej i tej samej szarej piany? Byłoby stokroć lepiej, gdybyśmy dopuszczali wszelkie wybryki najbardziej nawet wybujałej fantazji, najdziksze, najpotworniejsze. Wśród masy ludzi, chcących się wypowiedzieć i mających możność po temu, zawsze się znajduje najmniej kilku, choćby jeden tylko, który talent swój rozwinie, przetrawi się, zatrze krańce zbyteczne a nieuniknione w początkach każdej szczerej działalności artystycznej i wniesie utwory wartościowe do naszej sztuki. Dać każdemu możność rozwoju w kierunku jego indywidualizmu, swobodę wypowiedzenia się zupełnie szczerego — oto kardynalny warunek rozwoju każdej sztuki wśród każdego społeczeństwa. Plewy z biegiem czasu zawsze odpadną, a pozostaną czyste i zdrowe ziarna, które plon wydadzą. Glebę im tylko dajcie, żeby się rozwinęły, a nie niszczcie w zarodku.

W sztuce żadnego szablonu, żadnych z góry określonych wymagań i prawideł być nie może, a sztuka, która je sobie wytyka, już przez to samo skazaną być musi na wyjałowienie i w następstwie czasu — na zagładę. Sztuka nie jest i nie może być rzemiosłem, rozwój zaś jej polega na ciągłej przemianie i modyfikacji pojęć, na kształtowaniu się i urabianiu nowych wymagań i idei. Wszelkie zatem formuły muszą być ze sztuki raz na zawsze wykluczone, jeżeli nie ma ona zejść do rzędu prostego rzemiosła pisarskiego.

Tej ewolucji, temu kształtowaniu się idei bardzo często towarzyszy cały szereg zboczeń, prób karłowatych, nieudanych. Duch ludzki, jak i natura próbuje, zanim wyda to, co odpowiada jego potrzebie w danym czasie. Nie należy się więc nigdy przestraszać tych poronionych próbnych płodów ducha ludzkiego, nie należy ich odtrącać bezwzględnie i tamować rozwoju. Z tysięcy nieudanych prób, powtarzam, wykluć się może wreszcie forma udatna, a z poronionych nawet, czerpie się nieraz pożyteczne wskazówki, uczy się na nich, rozszerza zakres spostrzeżeń i doświadczeń.

Obecnie znajdujemy się właśnie w epoce przekształcania się pojęć o sztuce. Łatwo to spostrzedz, przyjrzawszy się baczniej produkcji artystycznej zachodu: wszędzie chaos, okropna mięszanina pojęć. Dawne ideje bankrutują całkowicie, jako nieodpowiadające duchowi czasu, nowe — nie ukształtowały się jeszcze dostatecznie. Widzimy zatem na każdym kroku szamotanie się w walce z przeżytemi pojęciami i formami, szukanie poomacku nowych dróg, błądzenie wśród ciemności, gorączkowe chwytanie nowych haseł, najsprzeczniejszych i często — najpotworniejszych. Ludzkość budzi z uśpienia stare formy, wygrzebuje z pod popiołów dawno zapomniane ideje, próbując, czy z nich nie dadzą się wyssać pierwiastki, któreby ją ożywić i odrodzić mogły duchowo. Powracamy do hellenizmu, tworzymy neohellenizm, szukając w gruzach starego kultu pokarmu dla siebie; zwracamy się ku buddyzmowi w nadziei, że on nam doda sił i wskaże nowe drogi; zagłębiamy się w mgliste sfery mistycyzmu, żądając, aby nam zastąpił to, czego nam brak, czego chciwie szukamy, a o czem nie wiemy, gdzie się znajduje. Czerpiemy ze wszystkich źródeł, jakie nam tylko pod rękę wpadną, a nigdzie nie możemy zaspokoić pragnienia, nigdzie spocząć, bo nienasycone siły ducha ciągle wołają o coś nowego, dotychczas nam nieznanego.

W tym wielkim zamęcie, wśród istnego jarmarku idei, obok tysięcy rzeczy nieudanych powstają dzieła niepospolite, lecz jakby niekompletne. Szukają one oczekiwanej idei, wpadają na nowe tory, lecz brak im jeszcze — równowagi, którą daje — prawda. Bezwątpienia mają one często wszelkie pozory prawdy, lecz nie są samą prawdą, tą, o którą nam chodzi. Są to utwory indywidualizmów silnych, odrębnych. Każdy z nich kroczy inną drogą, na swoją rękę szukając idei. Jest rzeczą możliwą, że przyszłe pokolenia zapomną o nich, ale pierwiastki ożywcze, jakie wnoszą z sobą do sztuki, wsiąkną w następców i przyczynią się do wytworzenia tego, czego ludzkość pragnie obecnie. Jest w tych ludziach, w rodzaju Ibsena, Maeterlincka, Strindberga lub Ropsa, jakaś dziwna energja; tkwi pewien imponujący majestat w ich zupełnem wyodrębnieniu się od innych, w zwróceniu myśli na tory najmniej oczekiwane. Kroczą oni naprzód, jak kolosy potężne, burząc dokoła wszystko, co im na drodze staje, nie dbając, czy będą zrozumiani, czy ich ideje przydadzą się na co, czy nie. Wierzą w siebie, i wiara ta wystarcza im; w niej czerpią siłę do pracy nad swym rozwojem i — do walki.

My trzymamy się zdala od ciężkiej walki ludów Zachodu o pozyskanie nowych idei i form w sztuce. Stoimy spokojnie na uboczu, przypatrując się zapasom i wysiłkom wykwintnych jednostek, straszliwemu szamotaniu się w niemocy duchowej natur słabszych, zwycięstwu silnych. My nie przykładamy ręki do wytworzenia nowych idei. Jesteśmy na to zbyt zaufani w samych sobie, w niezłomność naszych obecnych pojęć i jesteśmy obecnie zasklepieni w ślimaczej skorupie tradycji i — przegrodzeni od pola walki nieprzebytym murem chińskim. A szkoda! Tyle jednostek silnych, zdolnych, tylu ludzi o potężnym indywidualizmie przepada u nas w dusznej atmosferze.

Zresztą, być może jest i pewna doza słuszności w twierdzeniu, że my, jak i cała słowiańszczyzna, mamy w sztuce odrębne cele odpowiadające naszej organizacji duchowej; że innemi drogami rozwijaliśmy się przez wieki i nadal powinniśmy się rozwijać — niezależnie od Zachodu. Mamy swoją kulturę, i w kierunku tej kultury należy postępować naprzód...

I owszem! Ale też w takim razie należy porzucić rolę zbieraczy okruchów z cudzej uczty. Trzeba się wyodrębnić, skupić duchowo w sobie samych, wziąwszy z tradycyjnej przeszłości to, co nam jest z niej koniecznem — czyste plony samoistnej pracy dawnych pokoleń; należy zamknąć się zupełnie od obcych wpływów, jako cel wytknąć sobie — dążenie do rozwoju odrębnej kultury duchowej i iść w tym kierunku stale i konsekwentnie. Przypuśćmy nawet, że podobne wyodrębnienie się jest zupełnie możliwem. Ale też w takim razie tembardziej należy raz na zawsze rozstać się z szablonem, tembardziej rozszerzyć ogromnie skalę potrzeb i wymagań, dać głos i miejsce wszystkim, kto tylko ma cośkolwiek do wypowiedzenia. Wówczas nie będą przepadały dla nas głosy energiczne, indywidualne,

rzucające w sferę sztuki nowe myśli; nie będzie ginęło dla nas, dla naszej sztuki wielu ludzi, którzy dziś, nie znajdując u siebie gruntu dla rozwoju, szukają przytułku u obcych. A są między nimi nietuzinkowi. Nie mam tu rzecz prosta na myśli ani słynnego „filozofa przyszłości“ Fryderyka Nietschego, pochodzącego z polskiej rodziny, ani Maxa Halbego, który — jak mi mówił jest pół-Polakiem. Na „wynarodowienie“ ich z naszej literatury składały się zgoła inne okoliczności i warunki, niż te, o których mówiłem wyżej. Ale weźmy choćby — Przybyszewskiego. Jest to rdzenny Polak, językiem rodzinnym włada dobrze, lecz pisze — po niemiecku; nie było podobno dla niego miejsca w naszej literaturze. Jest jednym z tych, co idą swoją odrębną drogą. O nim chciałbym na tem miejscu nieco obszerniej pomówić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Zakrzewski.

FRANCISZEK MIRANDOLLA

POEZJE

Wygnani.

Wypędził ich gniew Pana i srogi anioła miecz
Z blado-zielonych raju traw kobierca.
Łeb swój podnosi wąż szyderca,
A oni idą na ból, na znój, het — precz.

Piasek pustyni poprzed nimi
I ostre skalnych ścian krawędzie.
Znikł sen o cudnej raju ziemi,
Trud, ból i rozpacz w koło, wszędzie.

Płomienny miecz w anioła dłoni
Drży i przygasa, siny, blady;
Wąż łeb podnosi wciąż, a oni
Idą, przekleństwo wlokąc zdrady.

Na ciemnem tle widnieje grzechu drzewo,
Pobladły, smutny, patrzy Archanioł w dal — za Ewą.

Pustynia.

Wielkie morze rozlane pod nieba kopułą;
Żółte, drżące od żarów, buchających z góry,
Nad którem nie zawisło nigdy widmo chmury,
A wszystko, co tu żyło piaskiem się otruło!

I nawet hyjen wycia tutaj nie dobiegą...
Karawany, trupami usłały te szlaki.
I odtąd ci, co żyją dróg się owych strzegą.
Wiatr zatarł dawno wszystkie po wędrowcach znaki.

Kiedy noc ciemna spadnie na puste obszary,
Kiedy się niebo z piaskiem w jedną nicość zleje,
Na to tło wypływają jakieś straszne mary.

Przytulona do piasku, dusza ma truchleje
Przed tą na tle nicości tańczącą Gehenną
Jaką już raz przeżyła, w jedną noc bezsenną.

* * *

Gwiazd oglądanych nie licz, tylko patrz za temi
Których blask ci na niebie cień zasłania ziemi.
I tęsknij za tonami, które wtedy brzmiały,
Gdyś gonił uchem słowa z szmerem aksamitu,
Co gdyś wzrok od twej duszy odwrócił błękitu
Z jękiem lutni, co milknie, w nicość się rozwiały.
Za temi, co ci w nocy szumiały nad głową,
A teraz gdzieś w twej duszy ukryły się głębi,
Co leciały, jak białych szeregi gołębi
Ponad morzem i wpadły w bezdeń szafirową.
Za temi patrz, co łupem stały się jastrzębi.
Dźwięków nie licz rozkoszy, ale wytęż ucho
Na jęki, co ci w piersiach wyją w nocy głucho
Co ci w ciemnej, samotnej szeptają godzinie
Że cierpisz i — na próżno, co cię szponem ranią,
Tych, co czarną rozpaczy straszą cię otchłanią!
Chwyć je i zaklnij w słowa, nim czar chwili minie.

Walka.

Hej walka! Wszędzie! od krańców wszechświata
Do drugich krańców! I dalej... i dalej
Wszędzie się wielkich pożóg ogień pali,
Wszystko się w pjanym szale walki brata.

Zda się, promienie gwiazd błyszczących nocą,
Gdy się skrzyżują w przestrzeni, bój toczą,
Bój o połyski. Zwycięzca na niebie
Chwałę pękami rac świetlanych znaczy.
Gwiazda pobita, w czarną toń się grzebie.

Hej! wszędzie walka! Na ziemi i niebie!
A tam, gdzie myśl nie sięga, czyż inaczej?

KLONDIKE

(Z pamiętnika podróży).

Przybyłem do Alaski na wielkim promie, który dobija do Chilatt, ku przesmykowi, gdzie niedawno, około 170 osób znalazło śmierć przez zasypanie śniegiem. Codziennie odkopują trupy. Również i gdzieindziej, aż do jeziora Lindeman, dokąd się udałem, odkopują wciąż jeszcze trupy koni, mułów i psów. Droga zasłaną jest niemi, a przebywa się drogę tę z największemi trudnościami. Chciałem przejść przez jezioro Benett, lecz napotkałem tu na przeszkodę walną. Lód był na przestrzeni 10 mil $1^1|_2$ metra grubości. Dużo osób przeszło tędy, lecz teraz lód skruszał. Trzeba czekać mrozu, i w rzeczywistości blisko 40,000 osób czeka, obozując w małych namiotach. Większość biedaków jest w zupełnej nędzy. Ceny produktów spożywczych są nie do uwierzenia wysokie, niedostępne, a o powrocie myśleć nie można.

We Wrangel spotkałem p. Lobel i jego rodzinę, udających się po złoto do Dawson City. Nie potrafię opisać wam strasznych zawodów tych nieszczęśliwych, których żądza posiadania złota przywiodła do tych lodowatych stref, skąd połowa, jeśli nie więcej, nigdy już nie wróci do swego kraju. Dodajcie do strasznej drożyzny żywności, zbrodnie, popełniane wzdłuż dróg, a będziecie mieli słabe wyobrażenie o położeniu. W biały dzień po drodze do Dyea strzelają do siebie nawzajem emigranci z rewolwerów. A pomimo tego kroczę i ja naprzód we wnętrze tego kraju, gdzie mąka sięga ceny 125 dolarów za worek 50-funtowy, a to, celem dostania się do cieśniny Beringa. Tymczasowo ruszyłem ze Skagway do jeziora Bennett, a wyciąg z mego notesu niech dopowie wam reszty:

Nareszcie 20 marca opuszczam Skagway i jego zaraźliwą atmosferę, jego szynki i jego domy gry. Brooks, starowina przebiegły, posiadający 170 jucznych mułów w górach, przedsięwziął dostarczyć nam po przez szczyty White-pass 3000 funtów bagaży naszych po cenie 12 centów za funt. „Hunker transportation Comp.“ żądała 20 centów od funta, dając nam przytem pięć minut czasu do namysłu! — Po amerykańsku. Zarezerwowaliśmy też sobie przewóz naszej łodzi i i wynajęliśmy konia do sani, na których pomieściliśmy tę łódź. Jest jeszcze dosyć śniegu, żeby sanie przesuwały się jako tako.

O siedm kilometrów od Skagway, droga, o tyle o ile dotąd niezła, prowadzi pomiędzy skały i tam naraz zwęża się zupełnie. Sanie z Youkon (długie na 1 metr 80 centymetrów i szerokie na 50 centymetrów) przedostają się, lecz sanie z naszą łodzią o szerokości pięciu stóp, ani rusz. Tłum idący w ślad za nami; zaczyna się niecierpliwić i krzyczeć: „Nigdy się nie przedostaniecie! Jesteście obłąkani! Spalcie waszą łódź, bo nie przyda się wam na nic!“ I ze wszystkich namiotów, poumieszczanych w wąwozach, ukazują się głowy rubasznych emigrantów, patrzące ciekawie na nasze nieszczęście. Układamy łódź na bok, rozbieramy ją i nareszcie dalej w drogę. „Wiedziałem, że tak będzie, rzekł mi myśliwy, to niedziela dziś, pogwałciliście ją“. W rzeczywistości, myślę, że ma rację. Stajemy. A więc do jutra.

W dniu 21 marca za to lepiej się powodzi. Pasaż trudny, ale bierzemy części łodzi na barki i dalej naprzód. Na przestrzeni 6 kilometrów droga znów staje się znośną. Zaprzęgamy i spożywamy funt słoniny w oberzy przypadkowej, po dolarze od osoby i ruszamy przez piękne lasy, przyprószone śniegiem i między namiotami, kupami prowizji, bagaży różnego rodzaju, złożonych wzdłuż drogi. Ich właściciele chodzą wciąż tam i nazad pomiędzy dwoma danemi punktami, przewożąc etapami po 150 do 200 funtów. Ciężkie to rzemiosło ciągnąć sanie w aurze lodowatej. Siedm stopni niżej zera. Spotykam gracza w kostki, który bierze mnie za naiwnego. Jeden z jego wspólników namawia mnie do grania o dolara. Wygrywam dwadzieścia! Ah! masz pan szczęcie, spróbuj pan jeszcze! Dziękuję, nie jestem tenderfoot (słabonogi) i ruszam dalej. W dziesięć dni potem ten gracz miał czaszkę strzaskaną kulą. Dobrze mu tak. Nie często się coś podobnego zdarza, bo jest się tu zbytnio zajętym, nie ma czasu do kłócenia się między sobą i „porządek“ panuje między ludźmi — od stóp do głów uzbrojonymi.

Począwszy od Skagway widać nieskończony ciąg różnych jucznych zwierząt. Pozostawiają one różowe, krwawe ślady na lodzie. Słychać nieustannie z ust poganiaczy wieczne „Goddam“!

22 marca. Spaliśmy w „hotelu“ White-pass o 5 kilometrów od wierzchołka. Dolara za pryczę bez słomy do spania i dwa dolary za kolację, złożoną ze słoniny i niedopieczonego chleba. Całe tam było towarzystwo jankiesów: pułkownik — ważący 250 funtów z butami, sędzia — z długą brodą, nauczyciel — w okularach. Figlarze! uchodzący za markizów fałszywych. To gracze z profesji, udający się do Dawson. — Mróz dziś silny: każdy suszy bieliznę przed ogniskiem. Na szczęście mamy silne katary. Z wzgórzy, gdzie ścieżki coraz stromsze, staczają się niezliczeni mulnicy, biali od śniegu i z wąsami obwisłemi lodem. Brr! Tam w górze musi być zimno Tu mamy 10 stopni poniżej zera. Armia nasza kroczy wciąż milcząca, jeżeli nie sypie przekleństw. My też ruszamy. Południe. Oto i po wzbiciu się w górę po stromej ścieżce, na której ledwo trzymają się konie i po której poruszamy się krok za krokiem z przystankami co trzy lub cztery minuty, gdy potknęło się jakieś zmordowane nieszczęsne zwierzę. Przybyliśmy do 15-kilometrowego okręgu, gdzie nie ma lasów. Wychodzimy na płaskowzgórze wielkie. Jezioro ogromne błyszczy białością, a nad niem powiewa sztandar angielski. Defilujemy na przestrzeni dwóch kilometrów przez płoty z bagaży; u końca, w bluzie czerwonej stoi na straży policjant kanadyjski. Piękny kontrast ubioru do szarej piechoty amerykańskiej z Dyea i Skagway. Tłum porusza się w koło tego nagromadzenia. Trudno kogoś rozpoznać pod kolosalnemi futrami północy. Wiatr dmie z straszną siłą. Marzniemy. Ani kącika ukrycia na tej mroźnej pustyni, która nas oślepia. Rozpościeramy namiot; wiatr go unosi. Ani źdźbła drzewa. Nic rzeczywiście... Trzecia godzina.

Stało się, komora celna przepuszcza nas. Przemy naprzód z naszymi psami i saniami obarczonemi częścią bagaży, dostarczonych nam przez Brooks'a. Lecz oto i śnieg poczyna padać, termometr wskazuje 25 stopni poniżej zera. Wiatr silny ścina nam twarze. Przyśpieszamy kroku, bo dopiero o 12 kilometrów stąd u granicy lasu i tej pochyłości, jest kryjówka. Nasze sanie wywracają się tysiąc i jeden razy, dwa kruki przelatują, krzycząc przeraźliwie i noc zapada. Tu i ówdzie leżą sanie porzucone pod działaniem uraganu śnież-

nego. Spotkanie ze zmarzniętym koniem fatalne, lepsze już spotkanie jakiegoś Lapończyka, którego ciągnie renifer. Wołamy, on znika. Okropna dola! Wciąż posuwamy się dalej i na horyzoncie dostrzegamy czarny punkt: to las, będzie drzewo dla ogrzania się! A więc schronisko niedaleko...

Znów światło tam w dali, na prawo; czujemy prawie, że nas rozgrzewa. Przybyliśmy, pożeramy słoninę starą ale smaczną, suszymy się przed czerwonym piecem i zagnieżdżamy się w głębi naszych worków, łóżek w rodzaju Nansena, które ocalają nam życie. Ciężką jest podróż taka. Brooks miał rację, mówiąc: „Lepiej zrobicie, pozwalając mym mułom transportować bagaże aż do jeziora Bennet za 15 centów więcej!

Dnia 23. marca — 30 stopni poniżej zera. Ruszamy do wierzchołka gór celem zabrania drugiej części naszych bagaży i wrócimy zemieszkać i obiadować jak prawdziwi sybiracy do schroniska, zamiast rozbijać namiot, jak 700 lub 800 innych, okrążających schronisko. Słońce świeci, równiny błyszczą brylantami, krew cierpnie w żyłach; o jak to piękne i ładne! A mój myśliwy pomiędzy dwoma kłębami dymu z fajki, mowi: „Dobrze jest, że czuje się życie dziś rano, panie!“

Dnia 24. 25 i 26 marca. Termometr podnosi się, taje prawie. Ścieżki się psują; kończymy przewóz naszych bagaży z wierzchołka do schroniska i rozpoczynamy tę czynność na przestrzeni 9 i pół kilometra od schroniska do Losy-cabin. Rzemiosło nużące. bez końca, po 100 funtów na sanie, które należy samym ciągnąć, gdy psy tego już czynić nie chcą. Wciąż przybywają ludziska i chodzą jak my, tam i napowrót. Bo miljony w perspektywie! I wszędzie Francuzi z Kanady mięszają swój język z anglo-saksońskim. Brawo Kanadyjczycy!

Wiele zaszło w dniach ostatnich wypadków chorób ocznych od błysku matowego śniegu, już gotowego stopnieć. Znajomy mój też cierpi bardzo na oczy. Źrenice rozszerzają się, wzrok staje się nieruchomym, ślepym, prawdziwie zatrważającym. Lekarstwo: trzy dni cierpieć i ciemnota. Wszyscy wdziewają niebieskie okulary lub mażą rzęsy i powieki węglem drzewnym.

Konie ku wielkiej radości dla psów wszędzie padają. Siano kosztuje 400 dolarów za tonę, owies 300. Ktoby je tam karmił! Psy nic nie warte przy wspinaniu się pod górę, ale stają się pożytecznemi na jeziorach i spadach; lecz ile trzeba cierpliwości, żeby je wytresować. Walki po walkach staczać trzeba, gordyjskie węzły rozsnuwać z postronków, z ław śnieżnych trudno psy wydostać, strejkują, ani kroku naprzód, gdy im się to niepodoba. Ci co przejdą przez taką próbę bez łajania, choćby raz jeden, dadzą świadectwo cierpliwości.

28, 29 i 30 marca. Wciąż chodzenie tam i z powrotem od schroniska do Losy-cabin, obozu złożonego z 800 do 900 namiotów. Ładny widok wieczorem przedstawiają wszystkie te namioty, gdy płoną ogniska. Wciąż przybywa moc ludzi. Złe drogi. Dla czego rząd nie używa części pieniędzy, osiągniętych za pozwolenie do poszukiwania złota na polepszenie tych dróg? Temperatura: do 10 stopni. Jak zwinnym, jak usposobionym do ruchu, czuje się człek, przyobleczony w trzy lub cztery pary skarpetek, do marszu!

31 marca. Pierwsza podróż po jeziorze Bennet! Wysokość 2100 stóp nad morzem: Wysokość White-pasu 2800 stóp. Dwanaście kilometrów drogi szkaradnych ścieżek, po jakich stąpa się chyba na wojnie, bo stąpa po trupach koni, zdechłych na drodze lub zmarzłych na miejscu. Na bok z nimi? Któż ma czas na to? Daleko szybciej stąpa się po ich wnętrznościach. Można je też ominąć jak sznury nieskończone mulników, furmanów, z których najpraktyczniejsi przewożą bagaże na skórach wołów, ciągnionych wprost po śniegu. Gwałtowne śnieżne zawieruchy czynią drogi tak złemi, iż ruszywszy o godzinie 8 rano, przybywamy na nocleg o 8 wieczorem, spotrzebowując godzinę na przebycie każdego kilometra!

Kwiecień 1, 2, 3, 4, 5 i 6. Dni następnych szliśmy inną ścieżką przez las, dostępną li dla piechurów i psów; nadkładaliśmy tą drogą 4 kilometry, lecz jest ona o tyle lepszą, iż 6 kwietnia —hura! ukończyliśmy to męczące transportowanie naszych bagaży przez śnieg, deszcz, burze, jak naprzykład w dniu 3. kwietnia, w dniu nieszczęsnej lawiny Chilkoot...

Kwiecień 7 i 8. Po przez jeziora transportowanie jest łatwiejszem, ciężary można zdwajać i potrajać a wiatry południowe często mogą wprowadzać w ruch sanie przy pomocy wielkich żagli. Jeziora są pełne ludzi: wszystkie me przypuszczenia są prześcignięte. Wczoraj od jeziora Bennet do wzgórza Chilkoot na przestrzeni 25 kilometrów (od 8 rano do 2 popołudniu) naliczyłem 1556 górników i na dwóch obozowiskach po 500 namiotów; od wzgórza Chilkoot do Sheep-camp naliczyłem tegoż dnia (od 2 do 4 godziny) na przestrzeni 6 i pół kilometrów 3500 osób, z których 1500 to tragarze uprzywilejowani, nie mogący być zaliczani do liczby wychodźców. Na ciasnem wzgórzu Chilkoot nagromadzenie ludzi i towarów kolosalne, kryjówki zaśnieżone są często na 10 stóp. U spodu tego urwiska prostopadłości prawie tysiącstopowej, na które wdziera się krok za krokiem bez niebezpieczeństwa zresztą, miała dnia 3. kwietnia miejsce śnieżyca, która przyprawiła o śmierć 59 nieszczęsnych. Z nich 24 robotników, tak szumnie opisywanego sławnego kablu nadpowietrznego, który dotąd nigdy nie mógł jeszcze funkcjonować. Po przejściu tem przybywa się do Sheep-camp, wioski o 5 do 6000 mieszkańców mniej więcej chwilowych; a potem dobra droga 16 kilometrowa prowadzi do Dyea po przez malownicze wąwozy. Po uważnem rozejrzeniu się w tych dwóch przejściach mogę każdemu polecić drogę na Skagway (White pass) bo można tam użyć bądź koni, bądź wołów, co jest niemożliwem po drodze na Chilkoot. Biedny wychodźca mniej się męczy pomimo liczniejszych etapów, jak u przejścia Chilkoot. Wół, którego się potem zabija na jeziorach, to zwierzę najpraktyczniejsze do zabrania z sobą. Wydobywa on się z dziur często takich, w których pozostają na zawsze konie Będąc już na jeziorach, korzysta się z pomocy psów, oddających nieocenione usługi i żywiących się byle czem.

Jeśli wychodzi z Dyea transport do wzgórza Chilkoot, po cenie jednakowej z transpotem od Skagway do wzgórza White-pass, nie należy się namyślać i obrać Chilkoot, bo jest on oddalonym tylko o 16 kilometrów od jeziora Lindeman i prowadzi po przez drogę dobrą, podczas gdy White-pass znajduje się w odległości $33^1/_2$ kilometrów od jeziora Bennet i ma drogi złe.

Policja kanadyjska zmniejszyła do 700 funtów minimum prowizji, którą wolno zabrać każdemu; przedtem minimum to wynosiło 1000 funtów. — Jezioro Lindeman jest ośm kilometrów długie, przełęcz dwukilometrowa oddziela je od jeziora Bennet, lecz jakiś inżynier stara się uczynić je nawigacyjnem obecnie w czasie lata, rezerwując sobie wtedy myto drogowe. Jezioro Bennet jest 40 kilometrów długie; wybrzeża jego są dobrze zadrzewione. Można tam budować łodzie i są też tam już dwa tartaki; cena desek $^1/_4$ dolara za stopę.

Spróbujemy dostać się do progów White Horse, o 160 kilometrów niżej leżących, gdzie oczekiwać będziemy odwilży,

celem przedostania się następnie wodą po przez $722^1/_2$ kilometrów, oddzielających nas jeszcze od Dawson-city.

Byliśmy dotąd zanadto zajęci, aby polować, lecz odnaleźliśmy już ślady łosia kanadyjskiego. W przestworach wiele jest ptaków śnieżnej białości; mięso ich smaczne.

Kotły rurkowate, koła żelazne poczynają przybywać po przez White-pass do jeziora Bennet, gdzie budować będą małe parowce, do nawigacji po Youkonie przeznaczone. Cała wioska w tej chwili powstaje z pod śniegu. Jednakże emigracja osłabła w Dyea i Skagway, prawdopodobnie ze zniknięciem śniegów u stóp wąwozów; znajdzie się druga na wiosnę. A jednak jest tylu i tylu górników w pochodzie od morza do progów White-Horse. Czynią nadludzkie wysiłki, na jakie tylko ta ludzka maszyna zdobyć się może!

Dwa dni temu na jeziorze Bennet przemknął się obok mnie po omacku jakiś stary górnik pytając: Czy może mi pan powiedzieć, gdzie się znajduje schronisko jeziora Bennet? Otóż tu jest! Nie widzę nic! Mój Boże, nie widzę nic! Spojrzałem na niego; był on dotknięty strasznem cierpieniem oczu. Zaprowadziłem go do hotelu, gdzie znajdowali się już inni chłopi, zdemoralizowani przez straszne zawieruchy dnia. Milczeli wszyscy, podczas gdy w kącie zawiązywano starcowi oczy a on krzyczał z bolu. Wtem zewnątrz zadźwiękły dzwonki, jak dzwonki kościelne na Boże Narodzenie. Dziesięć psów przybywa i z sani zeskakuje p. Pelletier. Kanadyjczyk z Newport, właściciel numeru 41, w tem Eldoradzie. Przybywa on z Dawson w 18 dni, przebiegając $120^1/_2$ kilometrów dziennie przez dwa ostatnie dni. Obiaduje, wszyscy mu się przyglądają, a on przy kawie prawi: „Złoto! wszędzie go tam znaleźć można, moje dzieci, oto przyjrzyjcie się mym zdobyczom; posłałem go za 3000 piastrów mojej żonie do Stanów Zjednoczonych. Znaleziono go w Big-Salmon, za 2 dolary. Ach! wy jesteście tak liczni, 10000 was w Dawson, 15000 w drodze, wszędzie ognie, wszędzie namioty. Lecz starczy tam złota dla wszystkich, którzy się nie zniechęcą. O minie kwaśnej spędziłem trzy lata celem wywiercenia dziury w skale, nic nie znalazłszy! Połowa tych, których widziałem wzdłuż drogi, byłaby się zniechęciła. Obecnie ja mam dosyć i chcę wypocząć. Czyńcie jak ja, czekajcie, pracujcie, nie szczędźcie trudu a znajdziecie złoto".

Wszyscy ci ludzie, których dwadzieścia minut temu przygniatała niemoc fizyczna ciężkiego bardzo dnia, podnieśli się prawie zupełnie odżywieni, pod wpływem tych słów czarodziejskich a z nimi też stary ślepiec z obwiązką oczną w ręku, szukał tego, co tak pięknie mówi!... Auri sacra fames!...

L. D.

Wiadomości artystyczne i literackie.

W Odeonie, teatrzyku warszawskim, wystawiono w tych dniach po raz pierwszy dramat Hauptmanna: „Samotni". W przyszłym tygodniu ma być wystawiony na scenie tego teatrzyku wodewil Pawła Ferriera pt. „Zginęła teściowa" w przekładzie Wincentego Kosiakiewicza, z muzyką Zamary.

Rostand po polsku. P. B. Londyński złożył dyrekcji teatrów warszawskich przekład wierszowany 4-aktowej sztuki Edmunda Rostanda pt. „Królewna z za morza".

Nowe powieści. Kurjer warszawski rozpoczął drukować powieść Adolfa Dygasińskiego pt. „Zając". Słowo warszawskie drukuje powieść współczesną Artura Gruszeckiego p. t. „Szarańcza". Czas zamieścił nowelę Gawalewicza pt. „Sołdat".

Niemałą senzację w sferach feministycznych wywołała w Paryżu książka Armanda Charpentier'a pt. „Ewangelja szczęścia". Odważny autor porusza w niej w sposób jaskrawy, chociaż zupełnie poważny, odwieczną sprawę małżeństwa. Za punkt wyjścia służy autorowi twierdzenie, że człowiek w życiu współczesnem szuka jaknajwiększej ilości szczęścia. Wśród rozmaitych przeszkód, spotykanych przez nas w drodze do szczęścia, jedną z największych jest małżeństwo dzisiejszego mieszczaństwa, to jest związek oparty na kłamstwach, zdradzie i prostytucji. Dla oświetlenia swych twierdzeń rysuje Charpentier filozoficzno-społeczny obraz dwojga małżonków, którzy się już nie kochają. We wnioskach. broniących w imię szczęścia, w interesie gatunku, społeczeństwa i moralności praw miłości, nie posunął się autor ani dalej, ani głębiej, niż liczni poprzednicy jego w tej sprawie. Niemniej przeto książka jego wartą jest przeczytania ze względu na swą szczerość i piękną formę. Dzieło swoje poświęcił Charpentier papieżowi.

Dwóch Polaków, Kazimierz Wodzyński i Kazimierz Stryjeński, piszących wybornie po francusku, umieściło zajmujące artykuły w przeglądach paryskich, mianowicie w „Revue Nouvelle" i w „Revue de Paris". P. Wodzyńskiego rozprawa pt. „Comment nait un empire" (Jak powstaje państwo), opowiada powstanie państwa pruskiego. Autor biorąc asumpt ze wspaniałej powieści Sienkiewicza „Krzyżacy", tłómaczy Francuzom początki tego zakonu i następnie w sposób barwny kreśli jego dzieje, bitwę pod Grunwaldem, hołd pruski, sekularyzację i narodzenie się Prus, z których wyszło obecne cesarstwo niemieckie. — P. Stryjeński z ciekawym komentarzem podaje korespondencje dwóch znakomitych francuskich autorów, mianowicie Standhala (Beyle) i Merimego.

Nowel Sienkiewicza tomik jeden zamierza wydać w przekładzie chorwackim „Matica chorwacka" w Zagrzebiu.

„Halka" po rosyjsku. W Petersburgu towarzystwo operowe rosyjskie wykonało w poniedziałek „Halkę" St. Moniuszki.

Nowe książki. W ostatnich dniach opuściły prasy drukarskie następujące wydawnictwa: Scarabejus: Zbiór nowel. Petersburg i Kraków 1898; „Kobieta" zbiór aforyzmów o płci pięknej, zebrał dla płci brzydkiej St. Lipiński. Warszawa 1898; Zygmunt Glogier: „Na falach Niemna", wrażenia z podróży naukowej. Warszawa 1898.